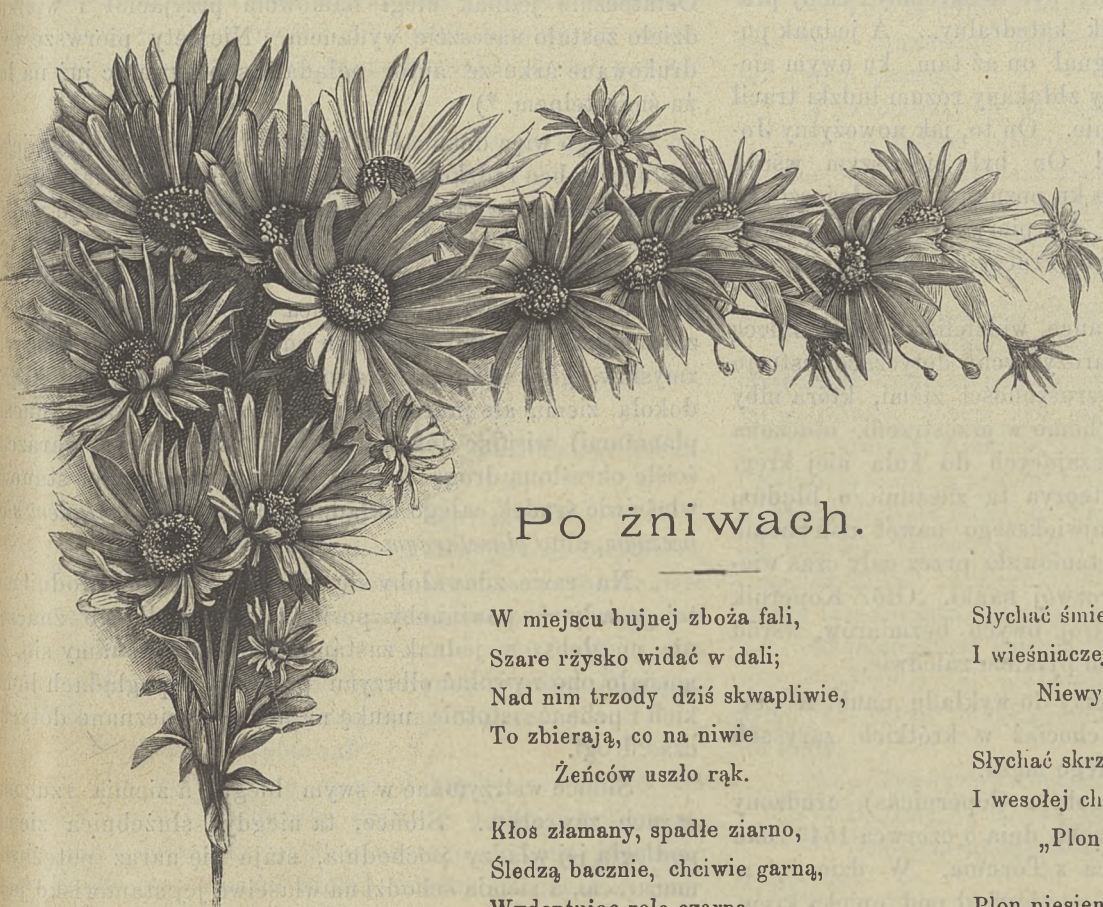




WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Dzieci i Młodzieży.



Po żniwach.

Ach mój Boże! co się dzieje!
Toć się w polu kłos nie chwieje,
A gdy słonko nie jaśnieje,
Czuć rankami chłód.

Lecz choć dzionka nam ubywa,
Ukończone w polu żniwa,
I po trudach odpoczywa,
Spracowany lud.

W miejscu bujnej zboża fali,
Szare rżysko widać w dali;
Nad nim trzody dziś skwapliwie,
To zbierają, co na niwie
 Żeńców uszło rąk.

Kłos złamany, spadłe ziarno,
Śledzą bacznie, chciwie garną,
Wydeptując rolę czarną,
 Jak kobierzec łąk.

A od wioski z wiatrem płynie,
Echo głosów po równinie,
To się wzmaga, to znów ginie,
 Niby pieśni wtór.

To w odświeżonej tam odzieży,
Tłum żniwiarzy żwawo bieży,
Niosąc z kłosów wieniec świeży,
 Co nań czeka dwór.

Słychać śmiechy, słychać krzyki,
I wieśniaczej ich muzyki
 Niewykwintny ton.

Słychać skrzypce i bębni,
I wesołej chór piosenki:
 „Plon niesiemy, plon!

Plon niesiemy! jak przed laty,
Strojny w wstęgi, strojny w kwiaty,
Wieniec naszych niw bogaty
 W zacny dworu próg.

Gdy zbiór w polu ukończony,
Za chleb nowy, hojne plony,
Niech dziś będzie pochwalony,
 Ojciec wszystkich — Bóg!”

E. L.

Sawel Drzciński.

POGADANKI Z ASTRONOMII.

II.

Wiekoponne odkrycie Kopernika.

Przechodząc Krakowskim Przedmieściem, w samym jego końcu, gdzie się zaczyna już Nowy-Świat widzimy wspaniały pomnik spiżowy, wyobrażający postać zadumanego męża, trzymającego w dłoni przyrząd astronomiczny, zwany *sferą*. Na podstawie tego pomnika widnieje napis: „*Mikołajowi Kopernikowi Rodacy*.” Kim był ów mąż i czego dokonał? Dla czego stał się sławnym przez wieki nietylko na ziemi rodzinnej, ale i w świecie całym, jak długo świat ten istnieć będzie. Czy był to wielki zdobywca lub wojak? Czy był bogaczem, co olśniewał ludzi blaskiem swych milionów? Nie, był to skromny i cichy pracownik nauki, ubogi kanonik katedralny... A jednak potęgą swej myśli i wiedzy sięgnął on aż tam, ku owym niedosięgniętym wyżynom, kędy zbłąkany rozum ludzki tracił już wszelkie ścieżki przewodnie. On to, jak nowożytny Jozue, rozkazał słońcu: stój! On był pierwszym wśród ludzi, który zbliżył się myślą ku poznaniu przedwiecznego planu Stwórcy wszechrzeczy. On pierwszy wreszcie pchnął naukę na nowe tory, po których kroczy dotychczas, świecą coraz to nowe tryumfy.

W poprzedniej pogadance widzieliśmy, jak dalece błędni byli mniemania starożytnych, dotyczące ustroju wszechświata. Teoria niewzruszoności ziemi, która niby środek świata zawisła nieruchomo w przestrzeni, otoczona rojem gwiazd i planet, zataczających do koła niej kręgi na sferach kryształowych, teoria ta zasadniczo błędna, a jednak popierana przez największego nawet astronoma starożytności, Ptolomeusza, tamowała przez cały czas wieków średnich, prawidłowy rozwój nauki. Otóż Kopernik pierwszy wyjaśnił dziwny ustrój owych bezmiarów, wśród których ziemia jest maluczkiem pyłkiem zaledwie.

Zanim jednak przejdziemy do wykładu nauki Kopernika, godzi się zapoznać chociaż w krótkich zarysach z dziejami żywota tego sławnego męża.

Mikołaj Kopernik, (Nicolaus Copernicus) urodzony dnia 2 marca 1473 roku, umarł dnia 5 czerwca 1543 roku był synem zamożnego kupca z Torunia. W dziewiątym już roku życia został sierotą i zamieszkał pod opieką krewnego (z linii matki), niejakiego Łukasza Wencelrode. W roku 1491 młody Kopernik, mając zaledwie lat 18 wstępuje do uniwersytetu w Krakowie, gdzie też w ciągu lat czterech (1391—1495) słucha wykładów teologii i medycyny, studiując zarazem astronomię, pod kierownictwem znanego podówczas uczonego i profesora tegoż uniwersytetu, Brudzewskiego. Po ukończeniu tych prac przygotowawczych, wraca na czas jakiś do Torunia, następnie zaś, już jako kapłan, udaje się do Włoch, najprzód do Padwy, a potem do Bolonii, gdzie w roku 1499, po świetnej obronie rozprawy naukowej, zyskuje stopień doktora medycyny. Przeważnie jednak uczonej nasz rodak poświęcał czas swój

umiłowanym badaniom astronomicznym, i zawdzięczając to olbrzymiej pracy, wytrwałości i zdolnościom wrodzonym, stał się wkrótce o tyle sławnym, iż powołano go jako profesora na wakującą katedrę astronomii matematycznej w Rzymie.

W 1505 Kopernik wraca do kraju i osiedla się najprzód w Heilsbergu, gdzie wuj jego Wencelrode był podówczas biskupem, następnie zaś zamieszkuje już stale we Frauenburgu, jako kanonik miejscowej kapituły. Tu, oddany wyłącznie wielkiej idei przeobrażenia istniejących dotychczas mylnych poglądów astronomicznych, pracuje wytrwale w ciągu lat 23 (1507—1530) nad wykończeniem wspaniałego dzieła, które dziś stanowi podstawę naszej wiedzy o ustroju wszechświata. Dzieło to, noszące tytuł „*De revolutionibus orbium coelestium*” (o ruchach ciał niebieskich) i ofiarowane panującemu wówczas papieżowi Pawłowi III-mu, pozostało w rękopismie przez całe lat dziesięć, a to z tego powodu, że wobec istniejącego od wieków przekonania o nieruchomości ziemi, które niesłusznie łączono z przekonaniem religijnym, Kopernik nie odważył się na ogłoszenie swej pracy drukiem, w obawie podejrzenia o kacerstwo. Ostatecznie jednak uległ namowom przyjaciół i wielkie dzieło zostało nareszcie wydane. Niestety pierwsze wydrukowane arkusze autor oglądał, spoczywając już na łożu śmiertelnym. *)

Czego więc dokonał Kopernik i na czym polega jego zasługa wobec ludzkości? Oto udowodnił on światu prawdę zasadniczą, że ruchy słońca i gwiazd, takie, jak je widzimy na sferze niebieskiej, a mianowicie dzienny obrót tej ostatniej dokoła ziemi w kierunku od wschodu ku zachodowi i postępowy roczny ruch słońca wśród gwiazd, są li tylko złudnem zjawiskiem, zależnem od niedokładności naszych zmysłów, gdyż w istocie rzeczy nie słońce i gwiazdy krążą dokoła ziemi, ale przeciwnie, sama ziemia (wraz z innymi planetami) wirując dokoła własnej osi, odbywa zarazem ściśle określoną drogę dokoła słońca i to ostatnie stanowi właściwie środek całego układu, zwanego dziś *układem słonecznym*, albo *planetarnym*.

Na razie zdawałoby się, że wykrycie i udowodnienie tej prawdy nie powinno posiadać zbyt wielkiego znaczenia; po głębszem jednak zastanowieniu przekonamy się, że musiało ono wywołać olbrzymi przewrót w poglądach ludzkich i pchnąć istotnie naukę na nowe, a nieznane dotychczas drogi.

Słońce wstrzymane w swym biegu, a ziemia rzucona w ruch zawrotny... Słońce, ta niegdyś służebnica ziemi, podległa jej władzy pochodnia, staje się naraz potężnym mocarzem, a ziemia schodzi na właściwe jej stanowisko jednej z najdrobniejszych planet... Znikają więc, jako niepotrzebne już, wszelkie kunsztowne wymysły filozofii starożytnej. Owe sfery kryształowe i ruchy zawikłane a niczem nie dające się wytłómaczyć, natomiast zaś otwiera się Niebo bez kresu ni granic, Niebo, w którego przestworach panuje jedno potężne prawo, jeden Bóg...

Tego nas nauczył Kopernik.

(d. c. n.)

*) Wszystkie prace Kopernika zostały wydane w Warszawie w roku 1854 staraniem prof. Baranowskiego. Jest to najzupełniejsze i najsumienniejsze opracowanie ze wszystkich istniejących wydań.

Jan Niewdźyd

Powieść z dawnych czasów

przez

Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).

— Wielkich ambicyi nie mam, aleć nasłuchałem się od księdza proboszcza, że każdy szlachcic powinien służyć krajowi i dobijać się na wojnie znaczenia, a tu siedz jak kogut na grzędzie i nasłuchuj aż cię zawołają — odrzekł Jasiek z niecierpliwością.

— Aleć jak zawołają to i ziarna dadzą — odparł, śmiejąc się Filip.

Jasiek machnął ręką niechętnie.

— Tobie jak widzę wojna jeno i wojna na myśli — mówił Filip. — To czemuż nie został przy swoim staroście, możebyś prędzej gdzie guza oberwał — dodał, patrząc z pod oka na przyjaciela.

— Toćbym był został, boć mnie to gryzie, żem mu nawet za chleb nie podziękował i kubraka nie oddał, ale nie wiem zgoła, gdzie się obraca, a teraz z zamku trudno wyjść, żeby go poszukać.

— Eh, ten twój starosta, to podobno wielki ladaco! — rzekł młody Rogala.

— Hej, Filip, czemu się to nie pilnujesz rodzica — rozległo się nagle nad uchem idących, gdy minęli już kościółek i przechodzili koło pałacu Zamoyskich.

— A toć właśnie na jegomościa dobrodzieja czekałem — rzekł pokornie chłopak.

— Wiedziałeś, że tu będę? — zapytał ojciec.

— Tociem się domyślił, boć z Zamoyskimi trzymacie.

— Sprytny szelma — rzucił z pewnem zadowoleniem stary szlachcic i zaraz zapytał, wskazując na Jaśka.

— Któż to zacz?

— Mój przyjaciel, co na dworze królewskim jest urzędnikiem — odparł z pewną dumą Filip.

— Gdzieżeś go upolował?

— Nie baczycie to ojczu dobrodzieju, toć to ten szlachcic, co był na dworze starosty gdyśmy króla obierali. Tego bodaj krewniaka naszego, co mu jegomość dobrodziej miejsce kazał zrobić między swojakami — mówił Filip, śmiejąc się dobrodusznie.

— Nie wyjeżdżaj mi z tym krewniakiem, słyszysz! — zgromił go ojciec, a przypatrując się Niewdźydowi, zapytał:

— A cóżes to ze swoim starostą zrobił he?..

— Nie wiem zgoła, co się z nim stało, powiedzcie mi wielmożny panie dobrodzieju, a będę wam bardzo wdzięczny — odrzekł Niewdźyd, kłaniając się obyczajem dworskim staremu.

— On jest na zamku, przy królu — powtórzył ojcu Filip.

— Toć widzę po barwie — ofuknął szlachcic, przypatrując się jeszcze baczniej Jaśkowi.

I nagle jakby mu jakaś myśl przyszła do głowy, zawołał na syna.

— Zabieraj go do nas na gospodę i ugość jak się patrzy!

— Bóg zapłać wielmożnemu panu dobrodziejowi, aleć posłany jestem przez marszałka na folwark Świętokrzyski i muszę wracać — rzekł Jasiek, kłaniając się do kolan Rogali.

— Grackiego zdybałeś przyjaciela — mówił szlachcic do syna — podoba mi się ten młodzieniec, mógłbyś go kiedy na zamku odwiedzić, a może i ja tam zajdę, gdy będę miał co rzec królowi — dodał, dając tem do myślenia, że na zamku jest jak u siebie.

Niewdźyd zarumienił się, nie wiedząc, co na tę obietnicę odpowiedzieć. Pomyślał zaś sobie:

— Niby to tak na zamek każdego wpuszczają!

Głośno zaś zapytał Filipa:

— Wskażże mi bracie którądy na ów folwark.

— A toć już na prawo za tem polem, zaraz sad widać. Ale pójdę z tobą, bo się znów może nie prędko obaczymy — rzekł mu przyjaciel.

— To i ja pójdę z wami — zawołał ojciec. Mam właśnie tam znajomego księdza, to go odwiedzę, a i miodek też u nich niczego.

A zwróciwszy się do Jaśka dodał:

— Po drodze opowiesz mi skąd jesteś, kto zacz twoi rodzice, a też jakich masz krewniaków i jakim sposobem dostałeś się na dwór królewski. Ba, i jak to tam na onym zamku. — I zaczął wypytywać szczegółowo Jaśka, myśląc sobie, iż możeby się dało jakim sposobem wkręcić Filipka przy pomocy tego przygodnego przyjaciela.

Niewdźyd z całą prostotą swej niezepsutej natury, opowiadał wszystko bez ogródki. Najpierw o sobie, o swojej wędrówce, potem zaś jakim go wstrętem przejmował pobyt u starosty i jak niechętnie teraz wśród bezczynności i wyczekiwania na zamku królewskim pozostaje. Tak gawędząc doszli do folwarku Świętokrzyskiego, a że księdza, od którego Niewdźyd miał dryakiew otrzymać, nie było i musiał czekać na niego, miał więc czas wygadać wszystko, co mu tylko leżało na sercu.

Aż nagle stary Rogala rzekł na poły żartem:

— Jeżeli tak nie lubujesz sobie w tem dworskiem życiu, to ustąp miejsca memu Filipkowi, a sam chodź do mnie.

Niewdźyd spojrział na mówiącego, a potem odrzekł:

— Ba, gdybyć można, gdyby nie te papiery!

— Hm — mruknął Rogala i zaczął znów od początku wypytywać.

W tem przyszedł też i ksiądz; Jasiek otrzymał dryakiew i pokłoniwszy się chciał wracać.

A stary Rogala rzekł:

— Filip, trzeba i nam do gospody, pójdziemy z Jaśkiem.

I jako starowny ojciec o dobro syna, wciąż z nienacka wypytywał Niewdźyda, czyby się jakim sposobem nie dało wkręcić na zamek Filipka

Niewdźyd odpowiadał mu wprost, nie tając mu, że nic uczynić nie może

Tak odprowadzili Rogalowie Niewdźyda pod zamek, a na pożegnanie szlachcic rzekł do niego:

— No idźże z Bogiem, a gdy ci będzie potrzeba rady albo opieki, przychodź do mnie; stoję gospodą na Pradze,

bo w stolicy strasznie drogo, a też na Pradze mam swoje sprawy.

Jasiek skłonił mu się do nóg z podzięką.

— Ale, słuchajże jeszcze, jakby cię napierali o krewniaków, możesz się do nas przypisać; Rogalowie nie byle szlachta, a też i nie byle kogo do krewieństwa przypuszczają — rzekł ojciec Filipa i odszedł, spoglądając na zamek.

VIII.

Michał Wiśniowiecki leniwy i ospały nie mógł podać ogólnemu nieładowi, jaki wówczas w kraju panował. Postawiono go na czele partii szlacheckiej, której przywódcą był Andrzej Olszowski podkanclerzy koronny, człek wielkiego animuszu i wielkiej ambicji. Olszowski kierował partją i królem, lecz mimo największych usiłowań nie mógł wykrzesać żadnej energii, a nawet stanowczego głosu z osadzonego na tronie monarchy. Na dwie strony się szamał; musiał rządzić królem i szlachtą, która wprzódce spostrzegła słabość tronu i coraz nowe stawiała żądania w opatrzaniu nadań i przywilejów. Tem trudniej

Do pow. „Trzydzieści lat wśród dzikich.



Wieloryb rozbija łódź Rougemont'a.

było doprowadzić do porządku szlachtę, że stronnictwo francuskie z prymasem Prażmowskim i hetmanem Sobieskim na czele, niweczyło wszelkie zamiary Olszowskiego, starając się na swoją stronę przeciągnąć część rozumniejszej, wpływowej, lub też chwiejnej w swych postanowieniach szlachty.

Stronnictwo francuskie starało się również o strącenie z tronu obranego większością głosów Michała i niedopuszczenie do koronacyi. Mimo to, Olszowski doprowadził swoje zamiary do skutku i Michał został koronowany 29 września 1669 roku.

Na sejmie koronacyjnym miano uchwalić podatki dla zaspokojenia niepłatnego oddawna wojska, lecz stała się rzecz nieznaną dotąd w państwie, sejm koronacyjny nie przyszedł do skutku.

Stronnictwo królewskie z francuskim kłóciło się na umór, przyszło nawet do starcia, wymówek osobistych i podniecania wzajem ambicji. Kłócono się, a kraj cierpiał wśród tej ciągłej rozterki. Obce mocarstwa starały się też korzystać z tego nieładu. Austriya, czyhająca zawsze na sprawy słowiańskie, wysunęła się zaraz w wrzekomą przyjaźnią, wyswatano Michałowi Eleonorę, siostrę cesarską, chcąc za jednym zamachem stanąć w poprzek zamiarom Francyi i położyć rękę na sprawach Polski.

Spokrewnienie się Michała z domem Habsburskim, nietylko oburzyło stronnictwo francuskie, lecz wytworzyło jeszcze wiele niechętnych pomiędzy szlachtą. Nowo zwołany sejm nie przyszedł znow do skutku.

Tymczasem granice srodze były zagrożone przez Tatarów i Turków. Groźba zaś była to śnać nie lada, kiedy obadwa stronnictwa uznały konieczność sejmu.

— Bądź co bądź! — rzekł Sobieski — sejm musi się odbyć, inaczej kraj będzie zgubiony.

— Trzeba się związać przysięgą, że zwołanego sejmu nikt nie zerwie, a wszystkie osobiste sprawy i kłótnie odłożone zostaną na później — odparł Prażmowski.

— Myślcie więc o tem exellencyo! — rzekł stanowczym głosem Sobieski.

— Jeno, czy nasi przeciwnicy będą tegoż samego zdania... — zrobił uwagę prymas.

— Są naszymi przeciwnikami, lecz i synami kraju! — zawołał gorąco hetman. — Nie czas na wszelkie kłótnie, gdy ojczyzna w niebezpieczeństwie *) — dodał zapalając się coraz więcej.

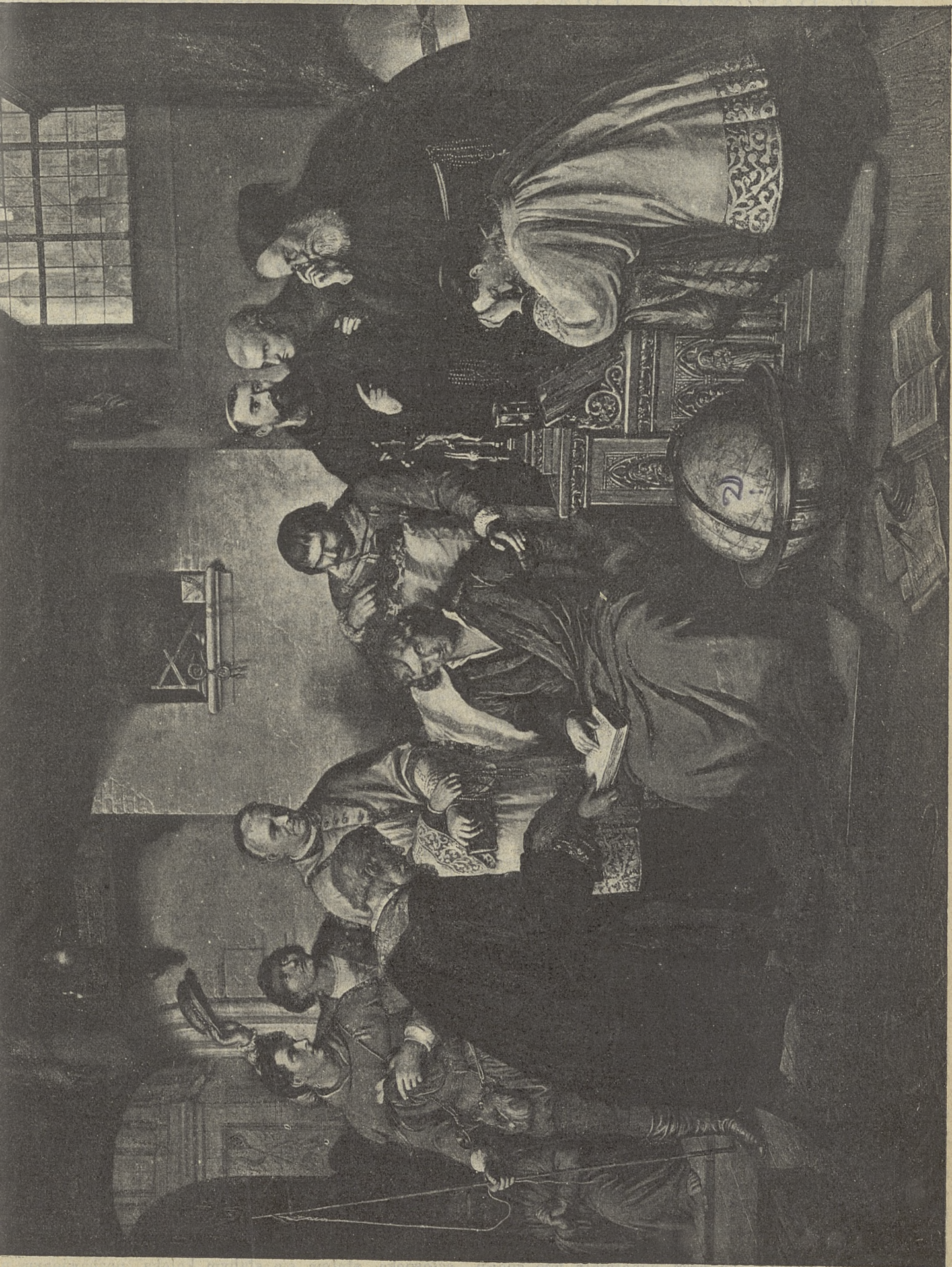
Też same uwagi robił sobie i przypominał swoim Olszowski.

— Kraj w niebezpieczeństwie!

— Trzeba go bronić!

(d. c. n.)

*) Historyczne.



2213
Ostatnie chwile Mikolajja Kobernika.

W PASZCZĘCE LWA.

ZDARZENIE PRAWDZIWE.

(Dokończenie).

Pewnie zapyta każdy z ciekawością, jakie były moje uczucia w tem strasliwym położeniu? Mogę na to powiedzieć, iż wszystkie moje władze zostały naraz jakby sparaliżowane z przerażenia. Serce biło tak gwałtownie, że zdawało mi się, iż pęknie zaraz. Ondlewałem z trwogi na myśl o moim okropnym losie. Po chwili zrozumiałem, że lew wydobyl się już z pod łóżka i obwąchuje je, onieśmielony nieco siatką od muskitów. Instynktownie i jak można najciszej zebrałem wszystkie poduszki i kołdry i zakryłem niemi twarz i głowę, pchany może tym samym zachowawczym instynktem, który przynagla małe dzieci do ukrywania głowo przed mniemanym strachem. Zaledwie to uczyniłem z okropnym mrukiem lew wygrzebał moje lewe ramię i pochwywszy za nie zębami, wyciągnął mnie na podłogę wraz z całą pościelą. Gdy podniosłem kolana żeby się skurczyć i przybrać obronniejszą pozycję, uderzył mię z lekka łapą, łamiąc mi nogę i zadając głęboką ranę. Potem ten obmierzły lew wypuścił mnie z paszczy i przyciskając łapą pierś, wydał jeden, drugi i trzeci ryk, jakby głos tryumfu i wyzwania.

Gdy ten potężny ryk zamarł wreszcie, wydało mi się, że za drzwiami powstał jakiś piekielny wrzask i hałas. Murzyni, jak szaleńcy zaczęli strzelać, i trudno pojąć jakim sposobem nie pozabijali się wzajemnie. Dowiedziałem się później, że natychmiast po wystrzałach powdrapywali się na pierwsze lepsze drzewa, aby uniknąć niebezpieczeństwa. Należy przypomnieć, iż niesłychana ciemność panowała jeszcze na polance. Morkel jakoby miał się obudzić za pierwszym rykiem i nie zwlekając ani chwili ubrał się, pochwyił za broń i wybiegł na dwór, gdyż, sądząc po sile lwiego głosu, pewnym był, że zwierz jest gdzieś bardzo blisko. Biegł na oślep ku mojej chacie, zdziwiony zapewne, że nie wychodzę na jego spotkanie. Kierowały nim krzyki Kafrow, i mruczenie lwa w którego mocy się znajdowałem. Gdy Morkel przystąpił do moich drzwi, zawołał głośno: „Brockmanie, Brockmanie! gdzie jesteś? przemów do mnie na miłość Boską!”

Słyszałem go wyraźnie, lecz nie byłem zdolny wymówić ani jednego słowa, chociaż wiedziałem, że od tego zależało moje życie. Morkel musiał zapewne obejść moją chatę dokoła i nacać dziurę zrobioną przez lwa, który przedarłszy szeroko matę, wlał pod moje łóżko, domyślił się wszystkiego, przybiegł na drugą stronę i wywalił zapórę od wnijścia.

Kiedy Morkel wypchnął drzwi, lew wpił swoje kły w mój prawy bok i z mrukiem wybiegł z chaty wobec osłupiałego Morkela, unosząc mię w ciemności. Biegnąc tak, kołysał mnie i podrzucał, jak gdyby chciał zarzucić sobie na grzbiet.

Możecie pojąć uczucia Morkela, który omackiem tylko poruszał się wśród tej czarnej nocy. Krzyknął na jednego i drugiego ze swoich ludzi, aby natychmiast w imię Boże zapalali drwa i trawę. Wpadłszy do mojej chaty, szukając łóżka, natrafił na kałużę krwi i przekonał się o tem, co się stało. Lew tymczasem biegł ze mną przez polankę i położył mnie nareszcie pod rozłożystym baobabem na skraj lasu. Leżałem tak znów, na wznak z tym lwem patrzącym na mnie swojemi wielkimi, świecącymi, zielono-żółtymi oczami. Te oczy napełniały mię znowu zgrozą i wstrętem, takie były zimne, takie straszne w swem nienasyconem okrucieństwie. Wyznać muszę, że od samego początku wydziwić się nie mogłem, dlaczego ten lew nie

pożarł mnie odrazu. Widziałem, jak lwy zabijały woły, nachylając ich głowy między przednie nogi, aż do złamania karku, i rozumiałem dobrze, że gdyby ten potwór, pijący moją krew, zechciał mię uśmiercić, wystarczyłoby mu na to jedno lekkie uderzenie potężną łapą. Mój lew jednak zdawał się zupełnie spokojny i zadowolony ze swojej żywej zdobyczy, pijąc krew sączącą się z rany i od czasu do czasu gryząc mnie za ramię. Ja nie straciłem jeszcze zupełnie przytomności, przygotowałem się w duchu na śmierć, a zarazem czekałem pomocy.

Tymczasem nasi chłopcy nie przestawali wrzeszczeć: „Nkanga! Nkanga!” (lew, lew!) jak gdyby sami byli w jakim niebezpieczeństwie na wysokich drzewach, na które się powdrapywali. Biedny Morkel, oszalały ze strachu, kręcił się w kółko jak wariat. Nareszcie krzykiem swym i nawoływaniem mój przyjaciel skłonił Murzynów do zapalenia pochodni z suchej trawy i przy ich migocącym świetle dojrzał acz niewyraźnie lwa stojącego nad mojem rozciągniętym i napół martwym ciałem. Był to olbrzymi zwierz, przeszło dziesięć stóp długi z przepyszną rudą grzywą, która mu nadawała jakiś dziki majestat. Dan opowiadał mi później, że kiedy się zbliżył do mnie ze strzelbą, jęczałem z cicha i mówiłem coś do siebie. Ale mój nieszczęsny towarzysz ociągał się jeszcze ze strzelaniem z obawy, żeby nie zabić mnie zamiast lwa.

— Trzymaj się — wołał do mnie tylko się trzymaj dobrze, a ja wnet zrobię co mogę dla ciebie!

Gdy on nadszedł, lew wyciągnął pazury z mojego boku i odwrócił się mrużąc i rycząc strasznie, lecz jedną łapą przyciskał mi pierś.

Jak Morkel nie stracił głowy, znajdując się o dziesięć kroków od zwierza, nie wiem — dość, że podniósł broń i wystrzelił. Lew odskoczył o kilka stóp od mego ciała, gdyż był silnie rażony w oko i kula naruszywszy mózg, wyszła przez paszczę i nadłamała mu szczękę. Morkel począł nabijać znow, lecz w rozpaczliwym pośpiechu stracił ładunek i znalazł się bezbronnym. Nie do uwierzenia to prawie, iż ten człowiek z natury dość bojaźliwy, rzucił się w tej chwili na lwa i zadał mu kolbą straszliwe uderzenie w głowę. Nie zaszkodziło to zwierzęciu, ale fuzya Morkela została strąskana. Szczęściem jeden z Murzynów przyniósł moją strzelbę i Morkel po dwóch strzałach położył lwa trupem.

W chwili, gdy lew odskoczył odemnie po pierwszym strzale, party jakąś nadludzką siłą, podniosłem się i pobiegłem jeszcze dwadzieścia czy trzydzieści kroków! W końcu padłem jak kamień na ziemię i nie pamiętam już dalej nic, aż do następnego dnia, kiedy się znalazłem w ciepłej kąpieli, przygotowanej dla obmycia moich ran, których naliczyłem aż dwadzieścia i jedna.

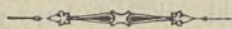
Bohaterski mój towarzysz, opatrzwszy rany jak mógł najlepiej, rozkazał odnieść mnie na noszach do najbliższej stacyi misyjnej, gdzie znajdował się doktor.

W ciągu tej podróży żyłem tylko wodą z winem i cierpiełem straszne bóleści.

Skoro mnie ujrzał doktor Prentice na stacyi misyjnej, zapowiedział, że stan mój jest beznadziejny. Prawa noga, jak mówiono, miała być odjęta, ale dzięki ówczesnym warunkom, uznano za niestosowne amputować mi ją zaraz po przybyciu. Przytem nie było chloroformu na stacyi a eter popsuty przez działanie klimatu, okazał się pozbawionym mocy. Leżałem tak z całą przytomnością, podczas gdy lekarz wykrajał uszkodzone części mojego ciała. Wszakże widocznie nie wybiła jeszcze dla mnie z woli Najwyższego ostatnia godzina, gdyż lew nie przeciął ani jednej głównej arteryi.

W chwili, gdy to piszę, wszelkie niebezpieczeństwo życia już minęło. Wprawdzie z niezwykle silnego i zdrowego człowieka, stałem się słabym kaleką, pozbawionym nogi i ręki, ale i tak składam dzięki Bogu Wszechmogącemu, że mnie uchronił od śmierci niechybnej, jestem bowiem jedynym człowiekiem białym, wyciągniętym z łóżka przez lwa,

no! i żyjącym po takich odwiedzinach. Kompania południo-afrykańska wypłaca mi niewielką emeryturę i obiecuje dać jakąś posadę biurową w Kaptowni, gdzie resztę życia znośnie i pożytecznie, da Bóg spędzę.



WZAJEMNA POMYŁKA.

POWIEŚĆ

p. Teresę Jadwigę.

(Dalszy ciąg).

— Zazdroszczę pani—szepnęła w zamysleniu Cesia
— Zazdrościć każdy potrafi, lecz zdobyć się na czyn nie każdy — rzekł Adam.

— Nie bądź złośliwym, wujaszku, złośliwość to broń bolesna — rzekła z odcieniem smutku Cesia.

Adam pożalował słów wymówionych, chciał przeprosić dziewczynkę, gdy wtem rozległo się po lesie wołanie:

— Cesi! Cesi! wracamy na śniadanie.

I w tej samej chwili Renia ujęła siostrę pod ramię.

— Jakże się bawisz? — zapytała.

— Bardzo dobrze — odparła Cesia — prowadziliśmy poważne rozprawy, wspominaliśmy przeszłość...

— Dysputy poważne, to właśnie, co ty lubisz, a od czego ja uciekam — rzekła z uśmiechem Renia. — Niepotrzebnie więc wyrzucalam sobie, że cię opuściła: obie dobrze czas spędziłyśmy, chociaż nie razem. Ja uśmieiałam się serdecznie: Pan Józef Sędowicz udawał kukułkę i ciągle nas zwodził, nawet Ludwika dała się złapać, usłyszawszy kukanie, dobyte portnonetkę i zawołała: „mam pieniądze, cały rok będę je miała” a pan Józef wyskoczył wówczas z za krzewów i rzekł: „kukułka ściele się do stóp łaskawej pani.” My wszyscy w śmiech, a Ludwika niby się dąsała.

Adam przysłuchiwał się temu szczebiotaniu ze zdziwieniem.

— Podobno jest starszą od Cesi, a takie z niej jeszcze dziecko — pomyślał.

Zebrani ujrzeni niebawem szeroką polankę, otoczoną starymi dębami; w pośrodku płonęło wielkie ognisko, podnosząc w górę gęste kłęby dymu i syjąc iskrami; w około ogniska potworzyły się malownicze grupy młodzieży, starszych i dzieci:

W jednej z grup dostrzegła Cesia Ludwikę, siedzącą na kłodzie drzewa w towarzystwie Felicji, kilku panów stało obok nich, Ludwika żywo coś im opowiadała, oni śmieli się głośno.

Nieco dalej po prawej stronie, grono dziewczynek i chłopców bawiło się wesoło w piłkę, tuż obok kilka panien grało w serso, za nimi siedziała grupa starszych pań i panów. Po lewej stronie ogniska służba ustawiała na kozłach stół do śniadania, wśród nich uwijała się Idalia i dwie najbliższe jej sąsiadki: Jadwisia i Zosia Żarskie. Pełno było gwaru i ruchu na polance.

Ujrawszy Renię, panna Ludwika odezwała się do niej:

— Wybraną zostałam na gospodynię, zabierz się do roboty.

Renia skrzywiła się.

— Tak zmęczoną jestem — sarknęła.

— Zastąpię cię chętnie — rzekła Cesia.

Renia ucałowała ją serdecznie.

— Dziękuję ci; idę odpocząć — odparła, i siadła na kłodzie, obok panny Ludwiki.

Cesia tymczasem zdjęła kapelusz, którego długi, czarny welon mógłby jej przy zajęciu przeszkadzać i zbliżyła się do Idalki.

— Mam zastąpić Renię, która wybraną została na gospodynię, proszę panią o fartuszek — rzekła uprzejmie.

— Zanim podam fartuszek, muszę zadać pierwszej pytanie, czy pani się zgodzi na warunek, jaki podaję moim współpracom? — rzekła Idalka, patrząc ze szczerem uwielbieniem na Cesię.

— Jakiż to warunek? — spytała dziewczynka.

— Nie wolno tutaj wymawiać wyrazu: pani.

W smutnych oczach sieroty zaświeciło zadowolenie, podała rękę mówiącej i ucałowała ją serdecznie.

— Dziękuję ci, Idalko — rzekła.

— Wierz mi, że ja cię kocham, Cesiuniu — odparła Idalia — bardzo dobrą jesteś, że się na mnie nie gniewasz.

— Za co? — spytała Cesia.

Lecz panna Sędowiczówna nie odpowiedziała tylko podała jej fartuszek.

— Bądź tak dobrą, pokraj chleb dla dzieci, potem posmaruj — rzekła.

Adam i Julka, którzy stali w pobliżu, słyszeli całą tę rozmowę i przysunęli się do gospodyń.

— Czy przyjmiecie mnie na pomocnicę? — zapytała Julka — i ja mam ochotę zamienić mój stosunek etykietałny z Cesią na przyjacielski.

— Widzę, że wrócę bogatą z tej wycieczki — odparła Cesia, podając dłoń Julce. — Przyjaźń to skarb.

— I ja też proszę a jakie zajęcie — odezwał się Adam i podał rękę Idalce. — Dobrą jesteś pani — szepnęła.

Idalka go zrozumiała i uściśnięła mu dłoń z wdzięcznością za to, że przebaczył jej niebaczne słowa.

— Proszę dobywać z koszów prowianty i podawać je Julci — rzekła wesoło do niego — ty, Julciu, ułożysz zimno mięso na półmiskach.

— Dzielna, jak widzę z pani gospodyni — rzekł Adam. Idalka się roześmiała.

— Mama zawsze mówi, że gdybym była tak lubiła do książki zaglądać, jak do spiżarni, z pewnością byłabym bardzo mądra — dodała.

Wszyscy zabrali się do pracy, żartując przytem wesoło.

— Julciu! Cesi! Idalko! zrób to, podaj mi tamto — dobiegało ustawicznie Ludwikę, dając jej świadectwo, iż w małym tem towarzystwie zapanował zupełnie stosunek przyjazny, podniosła się przeto i zbliżyła do gospodyń.

— Gdy tak zdaleka widziałam cię krajającą chleb, wiesz, kogo mi przypominałaś, Charlotte Göthego — rzekła z uśmiechem złośliwym.

Cesia zarumieniła się.

— Chciałabym być podobną do pracowitej i dobrej Charlotty — odparła.

— Charlotta to ideał kobiety niemieckiej — rzekła Ludwika i wróciła do swego towarzystwa.

Adam ściągnął brwi.

— Panno Julio, czy panna Walicka nie przypomina pani pretensjonalnej i niemłodej Telimeny z „Pana Tadeusza?” — zapytał.

— Telimena była dobrą kobietą — odezwała się Cesia.

— A panna Walicka czy nią nie jest? — spytał Adam.

— Nie zawsze — szepnęła dziewczynka, poczem spuściła główkę i zaczęła mrugać oczkami, na czarnych jej rzęsach zawisły dwie łezki, zlekka się jednak, aby ich kto nie dojrzał i odwróciła się szybko do stołu; poczęła chleb krajając na nowo, lecz Adam i Julka widzieli te łzy, w ich gronie zapanowało milczenie, przerwała je po chwili Idalka.

— Czy z tego Pana Tadeusza, co to napisał go Mickiewicz? — spytała Adama.

Szarski uśmiechnął się pobłaźliwie.

— To zachwycający poemat, czytała go pani? — zapytał.

— Tak, ale chciałabym go sobie przypomnieć — odparła Idalka i przeczytam raz drugi z pewnością — dodała ze szczerem postanowieniem.

Niebawem stół został nakryty, bigos odegrzany, zabrali się wszyscy do śniadania, i stojąc spożywali je wesoło.

Tymczasem południe nadeszło, upał poczynął dokucać, o grach towarzyskich lub o grzybobraniu niepodobna było myśleć, każdy wolał posiedzieć spokojnie pod cieniem drzew, więc ktoś zaproponował, by urozmaicić czas deklamacją i śpiewem. Renia szepnęła kilku osobom, że Cesia umie wiele pięknych wierszy na pamięć i bardzo dobrze deklamuje; starsi i młodszy poczęli prosić dziewczkę, by uprzyjemniła im to zebranie. Cesia wzdragała się, mówiła, iż w tak licznej gronie słuchaczy zmieszka się niezawodnie, że jest nieśmiała, wtem usłyszała, jak Ludwika mówiła do Felicji:

— Ręczę, że nie umie nic na pamięć z naszych poetów.

Rumieniec oblał jej bladą twarzyczkę, czarne oczy złocistych blasków nabrały, podniosła się poważnie z pniaka, na którym właśnie odpoczywała i głosem zrazu cichym, potem coraz pewniejszym, mówić poczęła:

„Widziałem w botanicznym, wileńskim ogrodzie
Owe sławione drzewa, rosnące na Wschodzie
I na południu, z owej pięknej włoskiej ziemi;
Któżże równać się może z drzewami naszymi?
Czy aloes z długimi, jak konduktor, pałki?
Czy cytryna karlica z złocistymi gałkami,
Z liściem lakierowanym, krótka i pękata,
Jako kobieta mała, brzydka, lecz bogata?
Czy zachwalony cyprys długi, cienki, chudy!
Co zdaje się być drzewem nie smutku lecz nudy?
Mówią, że bardzo smutnie wygląda na grobie,
Jest to, jak lokaj Niemiec we dworskiej żałobie.
Nie śmiejący ręk podnieść, ani głowy skrzywić,
Aby się etykietki niczem nie sprzeciwić.

Czyż nie piękniejsza nasza pocziwa brzezina,
Która jako wieśniaczka, kiedy płacze syna,
Lub wdowa męża, ręce załamie, roztoczy
Po ramionach do ziemi strumienie warkoczy,
Niema z żalu postawą, jak wymownie szlochą

.....
Te państwa niebo włoskie jak o niem słyszałem:
Błękitne, czyste, wszak to jak zamarzła woda,
Czyż nie piękniejsze stokroć wiatr i niepogoda?
U nas dość głowę podnieść, ileż to widoków!
Ileż scen i obrazów z samej gry obłoków!
Bo każda chmura inna — na przykład jesienna
Pełźnie, jak żółw leniwa, ulewą brzemienią,
I z nieba aż do ziemi spuszcza długie smugi,
Jak rozwite warkocze, to są deszczu strugi.

Chmura z gradem, jak balon, szybko z wiatrem leci,
Kraągła, ciemno-błękitna, w środku żółto świeci,
Szum wielki słychać w koło. Nawet te codzienne
Patrzenie państwo, te białe chmurki, jak odmienne
Zrazu, jak stada dzikich gęsi, lub łabędzi,
A z tyłu wiatr, jak sokół, do kupy je pędzi:
Ściskają się, grubieją, rosną nowe dziwy!
Dostają krzywych karków, rozpuszczają grzywy,
Wysuwają nóg rzędy i na niebios sklepie
Przelatują, jak tabun rumaków po stepie,
Wszystkie białe, jak srebro, zmieszają się — nagle
Z ich karków rosną maszty, z grzyw szerokie żagle,
Tabun zmienia się w okręt i wspaniale płynie
Cicho, zwolna po niebios błękitnej równinie!”

Ostatni wiersz wymówiła Cesia zniżonym głosem, poczem umilkła.

Starzy, młodzi, dzieci nawet poczęli bić oklaski, następnie otoczyli ją kołem.

— Jeszcze coś, jeszcze, prosimy bardzo — wołali jedni. Drudzy ściskali dłonie dziewczynki i dziękowali jej serdecznie za miłą chwilę, jaką jej zawdzięczali.

Renia ucałowała ją czule.

— Prześlicznie powiedziałaś — mówiła. — Wszyscy byli zachwyceni i wierszem i deklamacją, a także i deklamatorką; każdy przekonał się też, że mylnie miał o niej pojęcie, że Cesia to siostra ich wszystkich, że kocha to, co i oni, że potrafiłaby zrozumieć bicie ich serc.

— Cesi! Cesi! zadeklamuj jeszcze coś! — wołały panny.

— Prosimy wszyscy — dodawali panowie.

Dzieci uśmiechały się do niej.

— Powie pani jeszcze coś? — pytały.

Cesia dała się ubłagać, odpoczęła chwilę pod cieniem drzewa, poczem wróciła na dawne miejsce.

I zadeklamowała: „Dworzec mego dziadka” Morawskiego.

Po skończeniu powiodła uważnym okiem w około; spotkała utkwione w nią spojrzenie Ludwika, które widoczne zdziwienie wyrażało.

Cesia umilkła, cisza zaległa polankę, tak wszystkich wzruszyła. Po chwili otrząśnięto się z doznanego wrażenia i poczęto otaczać deklamatorkę, dziękować jej, ale inaczej niż przedtem: poważnie, cicho, z uznaniem nie mniejszem jednak. Cesia usunęła się zmęczona pod cień drzewa, pociągnęła za nią Renia, Julka, Adam i wiele jeszcze innych osób z młodego towarzystwa i nie była już więcej osamotnioną tego dnia ani na chwilę.

(d. c. n.)



PRENUMERATA. WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii kwartalnie zhr. 1 cent. 75 (3¹/₂ korony). — W Prusach: kwartalnie mar. 3.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Po żniwach, wiersz przez E. L. — Pogadanki z astronomii przez Pawła Trzczińskiego (z ryc.) — Jan Niewdźyd, powieść z dawnych czasów (c. d.) — Rycina do pow. Trzydzieści lat wśród dzikich. — W paszczęce lwa, zdarzenie prawdziwe. — Wzajemna pomyłka, powieść przez Teresę Jadwigę. — **Dodatek:** Zosia, wiersz (z ryc.) — Pogadanki naukowe przez A. Z. — Ptaszki przez J. P. — Ciotka Iza. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — **Dodatek książkowy:** Trzydzieści lat wśród dzikich, przygody Ludwika de Rougemont, opracowała dla młodzieży Walerja Marrené.

WIECZORY RODZINNE

A. Z.

POGADANKI NAUKOWE.

II.

Wyrazy „komórka” i „tkanka” znasz już dawno. Mówiąc komórka, rozumiesz malutki, często ciemny pokoiik, będący zwykle jakimś składem.

Pod wyrazem tkanka, pojmujesz płótno, perkal, wełnę i tym podobne materyały. Czasami i szarą pajęczynę nazwiesz tkanką.

Ale nie przypuszczasz zapewne, że w każdej roślinie, czy to będzie drobna konwalia, czy wysoka sosna, mieszczą się miliony komórek i niezliczona ilość tkanek.

Komórek tych nie stawiał budowniczy, ani tkanek tych nie snuł tkacz, ale jedno i drugie zrobiła ręka Stwórcy.

Każda roślina od korzonka, do wierzchołka składa się z tak zwanych komórek, które, oglądane przez szkła powiększające, wyglądają jak drobnutkie pęcherzyki, do pacioreczek podobne.

Komórki stare są zwykle już puste i powietrzem tylko napełnione; ale młoda komóreczka, to jak prawdziwy składzik.

Najpierw mieści w sobie jeszcze mniejszą od siebie, komóreczkę, która się pierwotną nazywa; dalej zaś płyn kleisty z drobnutkich ziarenek złożony, zawiązkiem zwany, płyn wodnisty czyli zwykły sok komórkowy i wreszcie drobne jąderka, które do rozrastania rośliny służą.

W soku komórkowym znajdują się niezmierne drobne ilości w płynie: cukru, gumy, białka, kleju kwasu i t. d. i jeszcze z płynu tego wydzielają się okruszynki soli i kuliste ziarenka mączki czyli krochmalu i barwnika zielonego czyli chlorofilu.

Cała ta jednak komórka, tyle w sobie różności zamykająca, jest bardzo malutka. I tak, największe komórki w rdzeniu bzu czarnego będące, które już nawet gołym okiem dojrzeć można, mają długości przez środek jedną setną częśćkę cala. A są i takie w innych roślinach, których długość wynosi jedną pięciotysięczną częśćkę cala.

To znaczy, że gdybyś długość cala podzielił na pięć tysięcy, to dopiero jedna z nich byłaby długością komórki.

Komórki bywają rozmaitych kształtów. W roślinach miękkich, w owocach, są zwykle lekko okrągłe, jedna przez drugą nagniecione. Podobne są wtedy do garstki kulek z gliny, zesypanych razem. W roślinach twardszych, nagniatane mocniej jedna przez drugą, bywają pięcio, sześciokątne i podobne są wtedy do plastra wosku, w który pszczoły miód składają. W drzewie naciskając się najsilniej, wydłużają się niżej małe wrzecionka.



Zosia.

Zosia wianeczek na głowę wkłada,
I przodownicę udaje,
Wielce ze swego pomysłu rada,
W wianeczku przed matką staje.
Nuci piosenkę, którą żniwiarze
Śpiewali wczoraj przed dworem,
Gdy wianek państwu przynieśli w darze,
Wracając z pola wieczorem.
A na to matka z uśmiechem powie:
— Jedno ci, Zosiu, nadmienię,
U przodownicy wianek na głowie
Ważne ma bardzo znaczenie.
Bo na ten wianek w trudzie i znoju,
Dziewczę zarabia u żniwa,
A ty, córeczko, myślisz o stroju,
Z robotą oj, różnie bywa!

J. P.

W konopiach, we lnie podobne są do nitek, a w sitowiu tworzą gwiazdeczki.

Wszystkie te komórki tak silnie skleją się ze sobą, że tylko bardzo sztucznymi środkami można je porozdzielać.

Połączone zaś w jednej roślinie komórki tworzą „tkankę,” tak jak nitka z nitką spleciona, tworzy wełnianą albo lnianą tkaninę.



Ptaszki.

Rodzice Ignasia mieli ogród, w którym dzieci bawiły się zwykle w różne gry. Pewnego dnia Ignas sam był w ogrodzie, bo znajome dziewczynki i chłopczyki dnia tego nie przyszli, chodził więc znudzony i myślał jakoby sobie zabawę wymyślić, gdy naraz, z pod nóg jego prawie zerwał się mały, szary ptaszek, niosąc w dziobku ogromną muchę! Ignas poszedł za nim cichutko i zobaczył, że ptaszek usiadł na gałązce krzaku agrestu, a później tak zręcznie wsunął się pomiędzy kolczaste gałązki, że wcale go widać nie było.

— Ciekawym co tam robi ten mały wściuba — rzekł Ignas do siebie — pewnie objada nasz agrest!

Zbliżył się więc, rozsunał gałązki, i jakież widok przedstawił się jego oczom? Szary ptaszek stał nad gniazdkiem, z którego wychylało się kilka rozwartych dziobków i przyniesioną muchą karmił jedno ze swoich małych.

— Ach, biedne maleńkie! — zawołał — matka przyniosła wam tylko jedną muchę, a was jest aż pięć, jednego nakarmiła, a drugie głodne biedactwa! Niedobra ta wasza szara mateczka, czekajcie, ja wam coś lepszego przyniosę.

Ignas pobiegł natychmiast do domu, i otwierając drzwi, zawołał:

— Mamusiu, proszę o kilka biskopcików dla tych biednych małych zgłodniałych, tylko prędko, bo bardzo im się jeść chce biedakom.

Mama myśląc, że synek chce nakarmić jakie biedne dziecko, których było dosyć w podwórzu, chętnie dała mu żądane ciasteczka, a ten, wymówiwszy za ledwie dziesiątą, pobiegł jak strzała z powrotem do ogrodu.

— No, przyniosłem wam, moje małe, przyniosłem dobre rzeczy — zawołał, zbliżając się do krzaku — patrzajcie, te biskopciki, to wystarczy dla wszystkich pięciu, bo i ty biedaczku pewnie nie bardzo się najadłeś obrzydliwą zdeszłą muchą, którą ci matka przyniosła! Zaczajcie, ja was nakarmię!

Mówiąc to, Ignas ostrożnie wyjął gniazdko z krzaka, a krzyoczącym pisklątom, przerażonego biskoptu naparkował pełne dziobki!

Gdy, według zdania Ignasia, ptaszki nasycone były, resztę ciastek schował na później, gniazdko napowró-

wsunął między gałązki i uszczęśliwiony z dobrego uczynku, biegał jakiś czas po ogrodzie, a później poszedł do domu na obiad.

Po obiedzie ojciec zabrał go z sobą na miasto, później napisał zadaną kaligrafię i przed wieczorem dopiero poszedł z mamą do ogrodu.

— A komu to Ignasiu dawałeś rano biskopty — spytała wtedy mama.

— Ach, prawda — zawołał naraz Ignas, przypominając sobie ptaszki! Zapomniałem im dać podwieczorek! Chodź mamusiu, chodź prędkiej, pokażę ci moich wychowanków! Biedaczki, one pewnie znów głodne, czekają na mnie, a ja prawie zapomniałem o nich.

Pobiegł więc żwawo do krzaczka, rozgarnął gałęzie, ale jakież było jego zdziwienie, gdy ujrział wszystkie pisklęta nieżywe. Biedactwa, pospuszczały smutnie łebki i ani jedno się nie ruszyło. Przerażony Ignas zawołał:

— Chodź mamusiu, zobacz co się stało, czy pisklęta śpią, czy też leżą nieżywe.

Mama pochyliła się nad gniazdkiem i rzekła:

— Wszystkie nieżywe, Ignasiu.

— Mój Boże! — zawołał przerażony chłopczyzna — pewnie z głodu pozdychały, nie dałem im podwieczorku, nakarmiłem je tylko w południe.

— Jakto Ignasiu, to ty je karmiłeś, nie matka?

— A tak, ja każdemu w dziobek włożyłem trochę biskopcika, bo matka przyniosła jedną tylko obrzydliwą muchę.

— A, więc teraz rozumiem, dlaczego ptaszki nieżywe — rzekła matka — zadusiłeś je, Ignasiu, pakując im biskopt do dziobków. Pisklęta nakarmić umie tylko ich mateczka, bo robi to umiejętnie; własnym dziobkiem pomaga im przełknąć pożywienie i daje po takiej odrobinie, aby przez wąskie gardziółko przejść mogło z łatwością! Ty zapakowałeś im gardła i dziobki i dla tego biedactwa żyć nie mogły.

Usłyszawszy słowa mamy, Ignas głośnym wybuchnął płaczem, bo żal mu było biednych ptaszek zmarnowanych przez jego nieświadomość, a mama pocieszając go, rzekła:

— Płakać i żałować po niewczasie na nic się nie przyda, mój synku, zapamiętaj sobie to tylko, że i dobrodziejstwo wyświadczone nieumiejętnie, staje się przyczyną złego. Chcąc komuś zrobić coś dobrego, trzeba przede wszystkim zrobić to umiejętnie, a gdy się nie wie, należy zapytać starszych. Gdybyś mnie się był zapytał synku, w jaki sposób karmić głodne małe ptaszki, byłabym ci powiedziała, że pożywienie należy rzucić tylko około krzaczka, aby je fruwająca w pobliżu mateczka widzieć mogła. Ona z pewnością byłaby wybierała wszystkie okruszynki, nakarmiła nimi swoje małe, a tobie przez wdzięczność, że pamiętałaś o jej dzieciach, zaśpiewałaby wesoło, a tak nieoględnością twoją, popsuteś jej całe szczęście!

Ignas żałował bardzo, tego co zrobił, a obawiając się, aby inne dzieci nie stały się znów przyczyną podobnego nieszczęścia, opowiedział wszystkim znajomym chłopczykom i dziewczynkom, że nie należy nigdy ruszać gniazdeczka i kłaść pożywienie w dziobki pisklątom.

Ciotka Iza.

Miaściczko Wrześniowo leżało na wzgórkach. Z jednej strony szumił gęsty las, czerniejący w oddali, jakby je umyślnie zasłaniał od reszty świata, z drugiej ciągnęły się tak daleko, jak tylko oko sięgnąć może uprawne pola, ozłoczone letnią porą łanami pszenicy i żyta, poprzeryzane gdzieś tam ciemną zielonością kartofli, lub różową koniczyną. Przy drodze do miasteczka stał duży, drewniany krzyż, niczem nie różniący się od często spotykanych po drogach w naszym kraju, a od niego wążka ścieżynka doprowadzała do białego domku, ginącego prawie w zieloności rozłożystych lip, wysmukłych topoli i smutnie szumiącej brzeziny.

Któż z mieszkańców nie znał białego domku nazwanego „przysłuliskiem” a przede wszystkim, kto nie czcił, nie szanował i nie kochał jego mieszkanki, zwanej ogólnie ciotką Izą? Niemłoda już, z siwymi, gładko przyczesanymi włosami, olśniewającym spojrzeniem i anielskim prawie wyrazem twarzy, zawsze czarno ubrana, była nietylko opiekunką chorych, pocieszycielką strapionych i smutnych, ale serdeczną przyjaciółką dzieci.

Kochała je i znała prawie wszystkie w miasteczku, to się też do niej garnęły i małe i większe i bogatsze i biedne, a ona każde nietylko zabawić ale i nauczyć czegoś pożytecznego umiała. Codziennie prawie, o każdej porze dnia na drodze wiodącej z miasta do białego domku, widzieć było można to gromadkę dzieci wiejskich, czysto lecz ubogo ubranych, ściskających w małych rączkach pęki kwiatów polnych na podarunek dla ciotki, to dzieci rzemieślników lub bogatych właścicieli, spieszące do ciotki na zabawę, a nawet i starsze dziewczynki, ukończywszy czy to naukę czy zajęcia domowe, z przyjemnością wymykały się do ciotki, bo je tam zawsze czekała jeśli nie zabawa z rówieśniczkami, to z pewnością jaka piękna historia, opowiadana z przejęciem, zaczerpnięta z życia, lub sięgająca odległych czasów.

Ciotka Iza siedziała zwykle na ganku przed domem z robótką w ręku, uśmiechem witała przybywających i mówiła:

— A chodźcież, chodźcie moje robaki, tak was już dawno nie widziałam!

I powoli ganek i ogródek napełniał się gronem dzieci, a ona kręciła się wśród nich i zdawało się nieraz nawet, że jej lat ubywało, tak biegła, tak się związała. Dziewczęta wiejskie uczyła czytać, szyć, robić pończochy na drutach, aby się mogły stać w przyszłości pomocą rodzicom; małe przygarniała chętnie, aby podczas pracy rodziców poza domem nie stały się ofiarami jakiego wypadku, o który przecież nie trudno, a reszta, zwłaszcza dzieci mieszkańców bogatszych, co w domu miały wszystko, i wygodę i opiekę, przychodziły, ot tak, bo ich serduszka ciągnęły do tej dobrej ciotki Izy, do tego cieniściego jej ogrodu, gdzie tak wesoło ptactwo śpiewało! Szczęście, wesele, swoboda tryskały w około, a jeśli dodamy jeszcze, że od blizkiego krzyża szło błogosławieństwo Boże, to możemy sobie łatwo wyobrazić, jak tam musiało

być miło, gdy po całodziennych trudach i pracy, ciotka zabierała całą gromadkę i szła na wieczorny spacer pod ów krzyż przy drodze.

— No dzieci, dość już tego — mówiła zwykle — Anulko, Józiu, Stasiu, poskładajcie już robótki, a wy mali próżniacy, co to tylko baki zbijać umiecie, nie rozchodźcie się, idziemy na modlitwę, a później marsz do domu do łóżek, bo jutro skoro świt, zaprowadzę was wszystkich do roboty.

Śmiały się dzieci, obiecywały, że przyjdą tak wcześnie, że i ciotka i Wiernuś stary a nawet szary kotek będą jeszcze spali, tylko niech ciotka przygotuje dużo, dużo płótna na koszulki dla sierotek, bo one wszystkie będą jutro szyły. Ciotka dziękowała im za tę obiecaną pomoc, a gdy cała gromadka nadszła pod krzyż, klękała pierwsza, wkoło dzieci, i serdeczna modlitwa kończyła dzień każdy!

Pewnego dnia, a był to piękny słoneczny dzień czerwcowy, Marychna i Kazia Zalińskie, córeczki doktora, najstarsze z całego tego zgromadzenia, które pod okiem ciotki Izy, uczyły się niesieć pomoc biedniejszym, przyniosły ogromne pęki ozu, aby nimi ozdobić krzyż przydrożny.

— Jaktó ładnie będzie, ciotko, gdy temi kwiatami ozdobimy podnóże! chłopcy zrobią jeszcze piękny wieńiec z zieleni i zawieszą na ramionach, prawda, że Bogu miło będzie, że o Nim pamiętamy?

— O tak, kochanki moje, Bóg chętnie przyjmuje ofiarę serc czystych i niewinnych jak wasze, módlcie się tylko zawsze szczerze i serdecznie, a z pewnością opiekować się wami będzie!

Dzieci ochotnie i żwawo rzuciły się do roboty, chłopcy nazrywali choiny, gałązek leszczyny, czeremchy, Marychna z Kazią uwiły prześliczne wianki, a gdy ciotka przypomniała, że należy dziś wcześniej iść, aby mieć dosyć czasu krzyż przystroić, wszystko było już gotowe. Droga nawet dzieciom tym razem wydała się krótszą, tak żwawo biegły ze swymi darami, a gdy Stasiak Kaliniak zręcznie wdrapał się w górę i na ramionach zawiesił najpiękniejsze kwiaty, zawołały:

— Patrz, ciotko Izo, jak to wysoko, już prawie niedaleko nieba!

(d. c. n.)

SZARADA.

E. L.

Pierwsze z drugim to silacz, co w karby ujęty,
Porusza koła machin, popycha okręty.
Trzecie wspaniałe to też mocarz, lecz z berłem moralnym,
Co jednym sprzyja wiernie, drugim jest fatalnym,
Wszystko wraz choć w dni jasne od ludzi wzgardzone,
W potrzebie im bezpieczną zapewnia ochronę.

PROZA DO PRZEROBIECIA NA WIERSZE.

Od Wichury dla Smoka.

Na barkach nowogrodzkiej góry bral zamek pozłotą od blasku miesięcznego, łamał się cień bury olbrzymim słupem, po piasku sinym i po wałach z darni, gdzie wśród cieśni wiecznych, z pod pleśni zielonych dyszała woda, spadając w fosę.

ARYTMOGRYF.

p. L. J. dla B. B.

1. 6, 5, 11, 2, 18. Rzymski historyk z I w. po Chr.
2. 9, 10, 5. Imię żeńskie.
3. 13, 2, 4, 15, 9, 21. Jezioro w gub. Suwalskiej.
4. 9, 15, 10, 9, 14, 5, 11, 8. Miasto w księ. Sachsen-Weimar.
5. 10, 12, 1, 7, 1. Część mowy.
6. 5, 13, 17, 5, 18. Wódz Madziarów z 1000—1301 r.
7. 16, 9, 13, 2, 11, 8, 1. Miasto n. Jordanem.
8. 5, 19, 13, 15, 20, 20, 5, 11. Miasto we Francji dep. Lijon.
9. 18, 12, 19, 22, 1, 10, 22. Dziejopisarz polski z XV w.
10. 7, 2, 22, 10, 22, 9. Jezioro w półn. Ameryce.
11. 15, 13, 3, 19, 11, 3. Miasto w Syberyi wsch.
12. 21, 1, 20, 3, 1, 14, 18, 5. Miasto w Indyach wsch.
13. 5, 24, 9, 20. Postać biblijna.
14. 10, 17, 5, 8, 15. Konnica turecka.

Zastąpić liczby literami i utworzyć wyrazy, którychby początkowe i końcowe litery złożyły pseudonym znanej naszej powieściopisarki, oraz dwa tytuły jej utworów.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 30.

Szarady: Pe — le — ry — na.

Łamigłówki sylabowej:

- 1) Palermo. 2) Izrael. 3) Enare. 4) Ren. 5) Wiek. 6) Skutari. 7) Zambezi. 8) Apis. 9) Piemont. 10) Reja. 11) Atlas. 12) Chili. 13) Allabama.

Pierwsza praca Oleńki i Stasia.

Łamigłówki w trójkącie:

S e k w a n a
E l s n e r
K a a b a
W i c i
A g a
N o
A

Skrzynka do listów.



Pytasz Julku S. dla czego, skoro miesiące parzyste i nieparzyste następują kolejno po sobie, lipiec i sierpień jeden za drugim liczą po 31 dni. Wiesz zapewne, że nazwy miesięcy, dotąd w wielu krajach używane, pochodzą od Rzymian. Januarius (styczeń), Februarius (luty), Martius (marzec), Majus (maj), Junius (czerwiec), tak nazwane od bogów rzymskich: Janusa,

Februsa, Marsa, Maja i Junony, którym były poświęcone. September (wrzesień) siódmy, October (październik) ósmy, November (listopad) dziewiąty, December (grudzień) dziesiąty, nazwy swoje dostały od liczb, w których szeregu miesiące były pierwotnie pomieszczone. Lipiec (Julius) i sierpień (Augustus) otrzymały swe nazwy od dwóch najslawniejszych władców Rzymu, o których uczyłeś się, lub będziesz uczył się w historii, od Juliusza Cezara i Oktawiana Augusta; ponieważ zaś August nie chciał, aby miesiąc, imię jego noszący, miał być krótszym od miesiąca Juliusza Cezara, odjęto więc jeden dzień z lutego, a dodano do sierpnia, ztąd zbiegły się dwa miesiące, liczące po dni trzydzieści jeden.

W zastępstwie Jaskółki, która na miesiące letnie wyfrunęła z murów miejskich i buja wśród zieleni pól, łąk i ogrodów wiejskich, donosimy Sarence z Ubli., że żądany numer Wieczorów już wysłaliśmy. Wierszyk, o który pytasz wpieryw przeczytasz, zanim odpowiedź nasza cię dojdzie.

Również w imieniu nieobecnej Jaskółki odpowiadamy P. że nic nie mamy do zarzucenia obranemu przez nią tematowi wypracowania konkursowego. Opis zwyczajów naszego ludu każdego zająć może, byle był wiernym i barwnym tych zwyczajów obrazem.

Pracowicie czas spędzasz G., skoro już tylu uczysz się przedmiotów i takie masz zamiłowanie w czytaniu. Pamiętaj jednak, że korzyść odniesiona z owego czytania nie zależy od ilości przeczytanych książek, ale od zapamiętania ich treści i zachowania w duszy dla zastosowania w dalszym ciągu życia zdrowych zasad, których krzewienie dobra książka ma na celu.

Przyjemnie nam miła Ś., że zadowoloną jesteś z przesłanej ci jako premium książki. Oczekujemy przyrzeczonego opisu miasta, które masz zwiedzać w czasie wakacji, jest ono bardzo starożytne, posiadać zatem musi wiele pamiątek godnych widzenia.

Zadania i łamigłówki własnego układu nadesłali: **Strzelec, Bystry Sokół, Lew amerykański.**

Dobrze rozwiązali szarady i łamigłówki: **Strzelec, Kazio W. Stasia i Mania D.**

NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Jadwinia K. z rodzeństwem rub. 1 kop. 25. — Jadwinia Stolzman oszczędności ze skarbowki rub. 3.

RYGA.

Elisabethstr N-r. 55.

ZAKŁAD NAUKOWY Z PENSYONATEM

ANNY JASTRZĘBSKIEJ.

Przygotowują uczennice do egzaminu na dyplomy nauczycielskie. Egzamina dla nowo wstępujących uczennic odbywać się będą 16 (28) i 17 (29) sierpnia. Lekcje rozpoczną się 18 (30) sierpnia. Do pierwszego oddziału klasy wstępnej przyjmują się uczennice, nie umiejące czytać.

MAGAZYN DZIECINNY

JANINY

w Warszawie Marszałkowska Nr. 151.

Poleca w wielkim wyborze dla dzieci: Sukienki, Palta, Garnitury, Żakiety, Garnitury do Chrztu, Koszule, Kalesony, Skarpetki, Pończoszki, Fartuszki, Kołnierzyki, Mankiety, Czapki i Kapelusze, słowem wszelkie ubrania dziecinne.

Obstalunki przyjmuje się ze swoich i powierzonych materyałów. Towar wyborowy, wykończenie akuratne.